



RAPORT Z EMIGRACJI

**NADBAŁTYCKIE
CENTRUM
KULTURY**



Debata



Lawrence Ugwu: Witam państwa serdecznie na jesiennej odsłonie Festiwalu Kultur „Okno na Świat”. Tegoroczna edycja nosi tytuł „Raport z emigracji. Spotkania ze światem”. To temat bardzo bliski mojemu sercu. Parę ładnych lat temu przyjechałem do Polski z dalekiego kraju jako student emigrant. Starałem się chłonąć tutejszą kulturę, a zarazem przekazać dziedzictwo, które przywiozłem ze sobą z Afryki. Ludzie, którzy ze mną współpracują, mogą zobaczyć rezultaty tych działań.

Jako człowiek, jako artysta, ciągle się zastanawiałem nad tym, czy dzięki temu, że mieszkam daleko od domu moja twórczość jest głębsza, czy może jest przez to gorsza. Odpowiedzi starałem się udzielić sobie sam. Uważam, że jest głębsza, czystsza, lepsza, dlatego że ciągle jest we mnie nostalgia, a ona dotyczy rzeczy, za którymi tęsknimy, które są piękne, dlatego taka sama jest nasza twórczość. Staramy się oddać najlepszy kawałek siebie, to, co przynieśliśmy. Cieszę się, że są tu emigranci, którzy

wiedzą, o czym mówię. Może nie będę w stanie tak dobrze sformułować tego po polsku, ale chyba rozumiecie, o co mi chodzi. Szczególnie serdecznie chciałbym powitać naszych gości, którzy związali swoje losy z krajami skandynawskimi. Pani Bogusława Sochańska, dyrektor Duńskiego Instytutu Kultury, tłumaczka literatury duńskiej, laureatka Nagrody Literackiej Gdynia, pan Włodzimierz Herman, reżyser teatralny z Kopenhagi, związany z Teatrem Królewskim i Teatrem Radia Duńskiego, pan Maciej Zaremba Bielawski, pisarz i dziennikarz ze Sztokholmu, laureat Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego, pan Jacob Dammas, reżyser z Kopenhagi, autor filmu, w którym tropi swoje polsko-żydowskie korzenie¹. Rozmowę poprowadzi pani Marta Perchuć-Burzyńska, redaktorka z radia Tok FM.

Chciałbym skorzystać z okazji i podziękować mojemu zespołowi, któremu przewodniczyła pani Katarzyna Wojtczak – ta młoda dama pracowała bardzo ciężko, by dotrzeć do naszych

¹Film *Kredens* (2007) w reż. Jacoba Dammasa prezentowano w Ratuszu Staromiejskim 5 października 2019.

znakomitych gości. I panu Tomaszowi Lipskiemu, koordynatorowi Festiwalu Kultur „Okno na Świat”. Szczególne podziękowania chciałbym złożyć na ręce pani Bogusławy Dejny, która wymyśliła te spotkania, organizowała je przez dziesięć lat i dbała o to, by wszystko wyglądało tak, jak teraz wygląda. Cieszę się, że jest pani z nami. Oddaję mikrofon pani redaktor i życzę owocnego spotkania.

Marta Perchuć-Burzyńska: Mam ogromny zaszczyt poprowadzenia tego spotkania, liczę, że sprostam wyzwaniu. Słuchacze mogą zadawać pytania w trakcie rozmowy, albo tuż po niej. Gdyby ktoś chciał poruszyć jakiś wątek – zapraszam serdecznie.

Emigracja. Dla każdego z uczestników debaty znaczy ona coś innego. Będziemy dziś rozmawiać o doświadczeniu emigracji. Chciałbym zacząć od czegoś, co wydaje mi się ważne. Kiedy myślą państwo: „emigrant”, to co przychodzi państwu do głowy? Jaki obraz? Jakie jest pierwsze skojarzenie dziś, w Polsce, w roku 2019?

Bogusława Sochańska: Chciałabym się najpierw wytłumaczyć ze swojej obecności za tym stołem, bo dzisiaj, jeśli jestem emigrantką, to jedynie wewnętrzną. W toku rozmowy może się wyjaśni, dlaczego mimo wszystko jestem trochę zorientowana w tej sprawie.

MP-B: Ciekawa jest cisza, która zapadła po moim pytaniu.

BS: Wydaje mi się, że zatoczyliśmy koło, w negatywnym sensie, w niedobrym znaczeniu. W przestrzeni publicznej znowu jest dużo złej energii. Jacob, ty jesteś Duńczykiem, Polakiem, Żydem mieszkającym w Polsce. Może ty coś powiesz.

Jacob Dammas: Mam ambiwalentny stosunek do słowa „emigrant”. Całe życie słyszałem w domu, szczególnie od mamy, że my nie jesteśmy emigrantami, że to była ucieczka po wydarzeniach w Marcu '68. Urodziłem się w Kopenhadze, jestem Duńczykiem. Ja też uciekłem, tylko w drugą stronę. Chciałam zobaczyć, co moja rodzina zostawiła w Polsce i chciałam tej nowej Polski doświadczyć.

MP-B: I pan został.

JD: Tak, teraz jestem bardziej w Polsce niż w Danii. Mam problem ze słowem „emigrant”. Moi rodzice nie czują się emigrantami, to jednak jest inna kategoria – uchodźstwo polityczne. A ja „musiałem” wyjechać z Danii, żeby doświadczyć czegoś nowego, tak jak wspominał pan dyrektor. To wyzwala inną energię, pomaga spojrzeć inaczej na świat, na siebie.

Maciej Zaremba Bielawski: Kiedy ja słyszę słowo „emigrant”, to myślę o sobie (bo myślenie o sobie w ogóle łatwo mi przychodzi). Chciałbym powtórzyć za panem dyrektorem: emigracja, jeśli tylko nie jest jakimś beznadziejnym losem, jest egzystencjalnym błogosławieństwem. Byłbym o wiele głupszym i na pewno gorszym człowiekiem, gdybym

został w Polsce. Mam naturę pieniacza i Polska by to ze mnie wyciągnęła. W powieści Astrid Lindgren *Ronja, córka zbójnika* są stworzenia, które mówią: „Voffor gör di på detta viset?”. Nie wiem, jak zostało to przetłumaczone na polski, ale one się bez przerwy dziwią, dlaczego ktoś coś robi tak, a nie inaczej. I to jest moja literacka dewiza. Chciałbym powiedzieć, że emigracja wyzwala umiejętność dziwienia się, którą mają tylko dzieci i poeci. Polecam tę formę egzystencji, ale uprzedzam, że pół czasu spędza się na pokonywaniu bardzo nieprzyjemnych przeszkód.

MP-B: Panie Macieju, wyjechał pan do Szwecji, kiedy miał pan siedemnaście lat...

MZB: Osiemnaście.

MP-B: Siedemnaście, kiedy się pan dowiedział o wyjeździe. W 1969 roku. Mama nie chciała żyć w Polsce, w której odrodziły się demony antysemityzmu. Pewnego razu otworzyła drzwi pokoju i powiedziała do pana: „Wyjeżdżamy. Jestem Żydówką”. To było powiedziane w tej właśnie kolejności, tak wynika z tego, co pan napisał w najnowszej książce. Pana ojciec został w Polsce. A czy pan miał jakiś wybór?

MZB: Nie miałem. Pół sekundy potem powiedziałem: „Oczywiście, wyjeżdżamy”. A to, że była Żydówką, było dla mnie czymś zupełnie nowym. Nie było czasu na zastanawianie się. Nie tylko

musiałem być wobec niej lojalny, nie mogłem czekać z odpowiedzią nawet pół sekundy. Teraz, po pięćdziesięciu latach, nie żałuję. To jest przeznaczenie, nie mogłem inaczej postąpić, ale jestem temu losowi w jakiś sposób wdzięczny.

MP-B: Mówi pan „Nie żałuję”, ale ten żal musiał gdzieś w panu być. Bo jeśli człowiek jest „wyjeżdżany” ze swojego kraju, to nie wierzę, że nie czuje bólu, rozgoryczenia i, delikatnie mówiąc, przykrości.

MZB: Gniew.

MP-B: Tak, ale z tego, co czytałam w książce, ten gniew budził się w panu stopniowo.

MZB: Dopiero wtedy, gdy zrozumiałem historię rodziny mojej mamy. Przedtem jej nie znałem. To jest skomplikowane, bo nie potrafię żałować tamtego wyjazdu, ale potrafię tęsknić za niektórymi aspektami polskości.

MP-B: O to też chciałam zapytać. Z czego wynika to, że pisze pan po szwedzku?

MZB: Z tego, że przez emigrację stałem się pismakiem czy dziennikarzem. Gdybym został tutaj, prawdopodobnie robiłbym coś innego. Chciałem być demonicznym reżyserem filmowym, okazało się, że nie mam do tego talentu. Emigracja wszystko w moim życiu zmieniła. Język szwedzki stał się moim właściwym językiem ekspresji. Na początku bardzo mi się nie podobał. Teraz uważam, że jest piękny, wyrazisty, lapidarny, w ogóle

wspaniały. Mam dużą frajdę z porównywania polszczyzny i szwedzkiej, tego, w jakim stopniu te języki wyrażają różne postrzeganie świata. To jest też bogactwo. Poza tym, pisząc po szwedzku mam własny styl.

MP-B: Panie Włodku, pan został „wyjechany” z Polski w roku 1970. Będę używać tego sformułowania, bo ono wydaje mi się najbardziej adekwatne. Nie ja wymyśliłam to słowo. Używam go po lekturze książki Mikołaja Grynberga, ale nie wiem, czy Mikołaj je wymyślił.

BS: Muzeum Polin używa wyłącznie określenia „wypędzeni” i nie chce słyszeć o żadnym innym.

MP-B: Pan miał już wtedy na koncie sporo sukcesów teatralnych, na przykład spektakl Szewcy wystawiony w Teatrze Kalambur i grany w Polsce od 1965 roku 120 razy. W tym przedstawieniu, zdaje się, debiutowała Ewa Dałkowska. Jest rok 1970. Zostawia pan teatr i jedzie w nieznaną. Czy miał pan jakąkolwiek gwarancję, że spotka pan teatr tam, gdzie wyjeżdża?

Włodzimierz Herman: To jest bardzo duża różnica, czy wyjeżdża się z kraju i ma się przed sobą całą prawie przyszłość, czy też wyjeżdża się z kraju z potężnym bagażem wypełnionym językiem, kulturą, doświadczeniem, sympatią. To był właśnie mój przypadek.

Emigracja, moim zdaniem, jest pojęciem mówiącym o wszystkim i o ni-

czym. Po duńsku emigrant to na przykład „flygtning”, co znaczy „uciekinię”. Tego określenia nie można do nas zastosować, bo myśmy nie uciekali. Każdy z nas ma inne doświadczenia związane z wyjazdem, ale ja osobiście nie czułem nacisków z żadnej strony. Wręcz przeciwnie: byłem zachęcany do pozostania, między innymi przez dyrekcję teatru. Najchętniej sformułowałbym to tak jak pani: byłem „wyjechany” z kraju, zmuszany do wyjazdu nie fizycznie, ale psychicznie. Na szczęście w Polsce wtedy nie było fizycznych pogromów. Zadałem sobie pytanie, jaki sens ma kontynuowanie mojej pracy w dwóch teatrach, w Teatrze Kalambur i w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Decyzję podjąłem dosyć późno. Wyjechałem w jednej z ostatnich fal marcowej emigracji.

MP-B: Czemu tak późno?

WH: Miałem wątpliwości. Zdawałem sobie sprawę, że nie mam przed sobą przyszłości zawodowej, reżyserskiej. Miałem wielu młodszych kolegów, którzy mogli wziąć się w garść, uczyć się języka, uczyć się dalej, adaptować się. Jeśli się jednak wyjeżdża z takim bagażem, o jakim mówiłem wcześniej, to podjęcie decyzji jest bardzo bolesne. Zdawałem sobie z tego sprawę. Nikt mnie tam przecież nie zapraszał, nie podpisałem żadnego kontraktu, choć miałem kontakty za granicą i bardzo dobre opinie napisane przez polskich teatrologów. Na Zachodzie i wszędzie indziej papierki nic nie znaczą. To, że Jan Kott napisał, czy inni znani na świecie

teatrologi, że jestem dobrym reżyserem, że mam osiągnięcia, nie miało żadnego znaczenia. Tam liczy się to, co człowiek pokaże w pracy. Dla mnie to było być albo nie być. Dlatego właśnie się wahałem.

MP-B: Jaki był początek za granicą? Pierwsze spotkania z ludźmi? Nie pytam o polską emigrację, która już w Danii była. Wiadomo, że pierwsza fala emigracji do Danii zaczęła się w XIX wieku, tak zwana emigracja buraczana, potem była druga wojna światowa. Z jakim przyjęciem spotkał się pan po przyjeździe?

WH: O, to jest cała epopeja, a nie chcę zabierać za dużo czasu. Stosunkowo szybko wszedłem w świat teatralny. Po pół roku intensywnego kursu języka duńskiego, kiedy jeszcze mocno ten język kaleczyłem, miałem już pewne zadania w Kopenhadze. Potem przez dwa lata pracowałem jako kierownik artystyczny w małym teatrze w Zurychu. Pod tym względem mi się udało, ale ile mnie to kosztowało psychicznie, wiem tylko ja.

MP-B: Panie Macieju, pan nie od razu zasiadł do komputera, nie od razu zajął się pan publicystyką.

MZB: Nie, ale trzeba podkreślić, że dla ludzi, którzy w Polsce zdążyli już zdobyć zawód i pozycję, dla pokolenia moich rodziców, rok 1968 był tragedią. Dla nas nastolatków, niekoniecznie. Ale to mogła być tragedia. Byłem wtedy szcze-

niakiem, na szczęście my się wtedy ciągle przeprowadzaliśmy, więc miałem niewielu przyjaciół i niewiele traciłem. Potem miałem nieprawdopodobne szczęście. Spotkałem kobietę, która wprowadziła mnie w to społeczeństwo, odczytała mnie polonizmów w języku szwedzkim. Jak wszyscy Polacy, chciałem się wykazać erudycją i pisałem bardzo długie, skomplikowane zdania. I miałem się różnych zawodów – czego powinienem żałować, bo straciłem mnóstwo czasu, nie czytałem książek, ale poznałem wtedy Szwecję od dołu. Kierowałem dźwigiem, pracowałem na budowie. To jest bardzo nietypowe. I kompletnie wyłączyłem się z życia polonijnego. Nie miałem z tym środowiskiem prawie żadnego kontaktu i do dzisiaj mam tylko sporadyczne.

MP-B: Pani Bogusłavo, pracując w Kopenhadze, poznała pani różne grupy Polaków z emigracji Marca '68. Kilka tysięcy osób wyjechało do Danii, jeszcze więcej do Szwecji. Jestem ciekawa, czy ci ludzie trzymali się razem.

BS: To długa historia i długo by opowiadać. Przyjechałam do Danii w 1995 roku i mieszkałam tam blisko pięć lat. To był początek nowej ery w relacjach polskich placówek dyplomatycznych ze środowiskami emigracji żydowskiej. W różnych ambasadach pewnie było różnie. Do ambasady polskiej zaczęto szukać kogoś nowego na stanowisko attaché kulturalnego, żeby zastąpić osobę, która sprawowała tę funkcję

z poprzedniego jeszcze nadania i nie posiadała kompetencji językowych czy kulturowych. Do różnych placówek szukano ludzi na uniwersytetach – byłam jedną z osób znalezionych w taki właśnie sposób. Był to czas, kiedy polskie środowisko żydowskie zaczęło dopiero być oficjalnie dostrzegane i zapraszane przez ambasadę, i zaczęło na to zaproszenie odpowiadać, choć jeszcze nie wszyscy, tylko niektórzy. Miałam ogromne szczęście, że uczestniczyłam w początkach tego procesu i współtworzyłam go z ambasadorem Jerzym Sitem. Przywiozłam stamtąd mnóstwo przyjaźni, między innymi dlatego jest tu dziś z nami pan Włodzimierz Herman. Środowisko polskich Żydów w Kopenhadze było najwierniejszym gronem odbiorców rozmaitych wydarzeń kulturalnych, które wtedy organizowałam. Byli wśród nich artyści z poważnymi karierami zrobionymi już za granicą, ale istniały też inne środowiska polonijne, emigranci zarobkowi, z którymi nie miałam większych kontaktów. Niektórzy aktywizowali się w organizacjach polonijnych, ale byli inżynierowie, lekarze, nazwijmy ich techniczną inteligencją, którzy się w to nie angażowali. Może nie mieli czasu. Tak się złożyło, że ponieważ zajmowałam się kulturą, moje najściślejsze związki powstały w środowisku żydowskim.

MP-B: Jacob, a jak było w twoim przypadku? Czy twoi rodzice, którzy zostali „wyjechani” w 1968 roku, integrowali się tam na miejscu, w Kopenhadze, z polskim środowiskiem?

JD: Moi rodzice do dzisiaj trzymają się blisko z tym środowiskiem, chodzą na więcej imprez niż ja [śmieje się]. W Danii mają przyjaciół głównie wśród emigracji, chociaż moja mama obraziłaby się, gdyby to usłyszała. Dla niej to nie była emigracja. O emigracji śpiewa Czesław Mozil. Tamto to było coś innego niż emigracja (zarobkowa).

Wczoraj tata zapytał mnie, czy idę na imprezę. Teraz w Kopenhadze odbywają się obchody pięćdziesięciolecia przyjazdu Polaków do Danii. Drugiego listopada jest wielka impreza w hotelu Radisson, wszyscy tam się spotykają i rodzice chcieliby, żebym w tym uczestniczyła.

Z moim pokoleniem jest gorzej pod tym względem, my już nie mamy ze sobą kontaktu, a może szkoda.

BS: Nawiązując do wypowiedzi wszystkich panów, trzeba powiedzieć jasno: różne były te doświadczenia i bardzo indywidualnie je przeżywano. Niektórym odbierano obywatelstwo i wyrzucano ich z kraju, a niektórzy wyjeżdżali, bo po prostu pojawiła się taka możliwość. Przygotowuję książkę ze wspomnieniami polskich Żydów, którzy wtedy wyjechali, nagrywam te wspomnienia... Jedna z tych osób powiedziała mi, że od początku trzyma się z daleka od środowiska emigrantów marcowych. Nie cieszy się wśród nich popularnością, bo jawnie przyznaje się do tego, że wyjechała, bo wreszcie miała okazję wyjechać. Nie chce podpisywać się pod zbiorowym, generalizującym sądem o całej fali emigracyjnej.

MP-B: To są doświadczenia bardzo osobne. Słuchałam kiedyś wywiadu z panią o Janinie Katz, duńskiej pisarce, „wyjechanej” z Polski w 1968 roku, i pani wspominała o tym, że ona bardzo Polskę idealizowała.

BS: Tak, to są sprawy uwarunkowane psychologicznie i zależne od osobistych doświadczeń. Część z mieszkających w Danii Polaków to ludzie bardzo poranieni. Zostali odrzuceni, wyrzuceni, i cierpienie nie może ich opuścić. Są jednak i tacy, którzy doświadczyli tylko dobra. Janka Katz wielokrotnie powtarzała, że nie spotkała jej w Polsce nic złego, ale ogólna atmosfera i poczucie godności sprawiły, że ostatecznie zdecydowała się wyjechać, choć to było trudne.

MZB: Miałem spotkanie autorskie pod Sztokholmem, w eleganckiej dzielnicy Lidingö, i cały czas z wielką sympatią przypatrywał mi się pewien starszy pan. Po spotkaniu podszedł do mnie i powiedział: „Ja też przyjechałem na fali Marca '68. Sfałszowałem papiery. Wyrobiłem sobie żydowskie dokumenty”. Byli i tacy. Na pewno ze sto osób, więc to, co pani mówi, ma sens. Gdyby wtedy mojej klasie maturalnej rozdać paszporty, to pewnie oni wszyscy, ci prawdziwi Polacy, też by się zastanawiali, czy nie wyjechać. Gdyby była szansa, to pewnie bardzo wielu ludzi chciałoby wyjechać z PRL-u lat 60. To też należy brać pod uwagę. Zupełnie inna sytuacja była w przypadku mojej mamy i wszystkich tych, którym od-

mówiono prawa do bycia Polakami. Ja wtedy tego tak nie odczuwałem. Myślałem sobie: „To nie jest żadna Polska, to jest jakiś Gomułka, komuniści i tak dalej”. Dopiero teraz mam poczucie, że w Polsce ktoś może mi odmówić prawa do bycia Polakiem.

Chcę też zwrócić uwagę na ten pozorny paradoks, że polską kulturę w Skandynawii krzewili ludzie, którym odmówiono prawa do bycia Polakami. To między innymi właśnie ci tak zwani Żydzi (to też jest skomplikowane) namawiali wydawców do przekładu polskich pisarzy. Albo sami tłumaczyli. I to działo też w drugą stronę. Kto tłumaczy noblistę Tranströmera na polski? Leonard Neuger, były uchodźca z PRL-u. Opłaca się przyjmowanie uchodźców czy emigrantów. Niektórzy po jakimś czasie wracają do siebie i stają się ambasadami krajów, w których im udzielono gościny. Namnożyło się tłumaczy z języka szwedzkiego. Na polski, węgierski, hiszpański, rumuński, a będą też na arabski i farsi, a i maleńkie języki Azji środkowej.

MP-B: Czy był taki moment, że panowie staraliście się tę polskość z siebie wymazać? Na fali żalu i gniewu. To pytanie do pana Włodka i pana Macieja. Pan Maciej mówił kiedyś, że w pewnej chwili złapał się na tym, że zaczął mówić o Polakach nie „my”, a „oni”. Co się robi z tożsamością, kiedy jest się „wyjechanym”? Jak się ją scala?

MZB: To jest dosyć skomplikowana i paradoksalna historia. Na początku Szwedzi mieli do emigrantów stosunek „von oben”. Biedak, urodził się poza Szwecją, niestety, nic nie można na to poradzić, w jakimś zacofanym kraju, w Polsce czy we Francji. I trzeba było sobie jakoś to kompensować. Ja na przykład, kiedy rozmowa dotyczyła króla szwedzkiego, pytałem: „A od kiedy jego ród jest szlachecki? Bo mój od XIII wieku”. Bzdury plotłem wtedy, z tej samej beczki co wiara w to, że to Polacy pod Wiedniem zbawili chrześcijaństwo, czy też przekonanie o wyjątkowej polskiej tolerancji. Byłem prawdziwym Polakiem w stu procentach. Bardzo ciekawe doświadczenie. To był rodzaj obrony. Wiem, że wielu zarobkowych emigrantów broni się w taki sam sposób, bo my wszyscy mamy w stosunku do Zachodu kompleks niższości. A potem przyszła „Solidarność” i można było poczuć autentyczną dumę z tego, że się jest Polakiem. Ja zresztą przez „Solidarność” zostałem dziennikarzem. Stałem się ambasadorem Polski. Może nie całej, ale tej Polski Michnika, Kuronia, Wujca, Wałęsy, Lipskiego, Herberta, Edelmana. Jednocześnie jednak, pisząc dosyć krytyczne artykuły o Szwecji, doszedłem do wniosku, że muszę przestać pisać o Szwedach „oni”. Że muszę mówić „my”. Bo to „oni”, stawianie się na zewnątrz, to jest podejrzana pozycja moralna. „Ich” można bić po oczach, bo we mnie to nie uderza.

MP-B: Jak to jest być outsiderem?

MZB: Teraz jestem podwójnym outsiderem i dla mnie to jest bardzo dobrze. Mam monistyczny charakter i w innych czasach na pewno byłbym fanatykiem religijnym. Mam takie ciągotki. A tak, cokolwiek powiem – narzuca mi się ta schizofrenia. Kiedy zaczynam pisać o Polakach „oni”, przypomina mi się historia mojego dziadka, i wtedy to „oni” uderza we mnie rykoszetem. Tak ma być. To jest bolesne i to jest dobre. Jest taki bardzo dobry sprawdzian tożsamości. Czasami mnie pytają: „Czy pan się czuje Polakiem?”. Odpowiadam: „Wstydzę się za Polskę, wstydzę się za Szwecję, czasami wstydzę się za Izrael. Nie wstydzę się za Danię ani za Chorwację”. Te trzy wstydy to są moje trzy tożsamości. Nic na to nie poradzę. Nie mam wyboru. Tak po prostu jest.

MP-B: Panie Włodku, podobne pytanie do pana. Czy miał pan taki moment, że z żalu o „wyjechanie” zaczął pan wymazywać tę polską stronę własnej tożsamości?

WH: Nie mam pretensji, że wyjechałem. Mnie osobiście nikt nie zmuszał do wyjazdu. Mogłem zdecydować, że zostanę. Oczywiście nie wiadomo, jak by się wtedy potoczyły moje losy. W tamtym momencie podjąłem decyzję samobójczą.

Chciałbym podkreślić, że problem poczucia tożsamości idzie falami. W jednej z moich książek napisałem, że można uciec od wszystkiego i wszystkich, ale nie można uciec od miejsca urodzenia i od języka. Jeżeli było się już ukształtowanym językowo i świadomym bagażu kulturalno-historycznego, to podjęcie

decyzji było bardzo bolesne. Miałem szczęście być z żoną Beatą, wspólnie ją podjęliśmy. Nie mamy większych problemów językowych. Cały czas mówimy do siebie po polsku. Pracowałem w wielu językach, większość kalecząc fonetycznie, łącznie z duńskim. Na szczęście nie musiałem stać na scenie i publiczność nie musiała mnie słuchać, tylko moi aktorzy... Współczuję im. W związku z tym wiem, że powrót do własnego języka jest darem Bożym. Byłem reżyserem dramatu, reżyserem tekstu. Moja przewaga nad aktorami polegała na tym, że lepiej niż oni zonglowałem językiem polskim, władałem nim lepiej. A tu nagle musiałem się skonfrontować z rzeczywistością, w której wszyscy dookoła w jakimś stopniu musieli mnie akceptować. To było paraliżujące. Teraz praktycznie jestem już na emeryturze artystycznej, moje, wspomniane tutaj, kontakty z Teatrem Królewskim należą już do przeszłości, ale czuję, również poprzez kontakty z panią Bogusławą, że językowo należę do Polski, mimo że czterdzieści lat pracowałem w języku duńskim, czuję się obywatelem duńskim i jestem szczęśliwym poddanym Jej Królewskiej Mości.

MP-B: Panie Włodku, kiedy nastąpił ten przełomowy moment, w którym poczuł się pan obywatelem duńskim?

WH: Dobre pytanie, bo jak się wyjechało, to było się wkurzonym. Mocno. Nigdy jednak nie uległem próbom wciągania mnie w dyskusje, w których

miałbym grać ofiarę polskiego antysemityzmu czy komunizmu. Nie ukrywałem, że w młodości miałem poglądy lewicowe. Byłem wkurzony i sfrustrowany, więc z radością przyjąłem duńskie obywatelstwo. Ale obywatelstwo nic nie znaczy, to jest tylko paszport. Język znaczy wszystko.

BS: Jutro będę mówić o Janinie Katz, jako tłumaczka jej książek na język polski. Janina Katz to jeszcze inny, szczególny przypadek. Janina wyjechała podobnie jak ty, Włodku, kiedy była już osobą ukształtowaną, miała prawie trzydzieści lat. Nie była jeszcze wtedy pisarką. Po pierwsze, dość szybko opanovała duńszczyznę i po kilku latach, we współpracy z duńskimi poetami, zaczęła tłumaczyć na duński wielką polską poezję. Stała się, w moim przekonaniu, największą ambasadorką kultury polskiej w Danii. Ty również, Włodku, realizowałeś sztuki polskich autorów, Różewicza na przykład.

WH: Mrożka...

BS: Janka tłumaczyła Mrożka, Lipską, Herberta, Miłosa.

WH: Przekładała też sztuki do moich produkcji.

BS: Pracując w polszczyźnie, zarazem zaistniała jako pisarka pisząca po duńsku. I nie miała męża Duńczyka, który by wypolerował jej duńszczyznę mówioną. Kaleczyła ten język dość drama-

tycznie. Natomiast pisała wiersze i powieści i osiągnęła bardzo wysoką pozycję w tym kraju. Wracając do pani pytania: moim zdaniem u niej nigdy nie nastąpił moment, w którym odcięła się od Polski. Była ambasadorką naszego kraju nie tylko jako tłumaczka literatury polskiej na duński, ale i jako wyrazicielka nieustającego zachwytu nad Polską. Polska w jej duńskich powieściach jest nieustannie apoteozowana. Jest pięknie, kobiety się pięknie ubierają – wszystko mitologizowała. Zarazem pisała po duńsku, chciała zaistnieć w kraju, w którym żyła.

MP-B: Nie zapytałam jeszcze o powrót. Kiedy panowie wyjeżdżali, czy w ogóle pojawiła się myśl, że wrócić? Że wydarzy się coś takiego, że zdecydujecie się na powrót?

MZB: Był 1969 rok. Wszyscy byli przekonani, że Związek Radziecki będzie istniał zawsze. Odebrano nam obywatelstwo. Nie było takiej opcji.

WH: Skomplikowane pytanie. Odróżniam powrót fizyczny od duchowego. Duchem ciągle w jakiś sposób jestem w Polsce, fizycznie nigdy nie miałem zamiaru wracać, zwłaszcza że rzeczywistość w Polsce idzie falami. W pewnych momentach może miałbym ochotę być tu dłużej, ale to nie jest ten moment, który jest dzisiaj.

MP-B: A twoi rodzice, Jacob?

JD: Przez wiele lat w mojej rodzinie był problem, który polegał na tym, że jako jedyny wyjechałem z Danii i pojechałem do Polski. Po bolesnej historii moich rodziców i ich rodziców. Czuję się ambasadorem tej rodziny, wróciłem w jej imieniu. Dla mnie ważne było, żeby pokazać i rodzinie, i Polakom, i Żydom rozszanowanym po całym świecie w diasporach, że jest szansa, by tu wrócić. Minęło czterdzieści lat. W Polsce nie mam kontaktów z Duńczykami, odcinam się, próbuję żyć tutejszymi realiami. Mam polską partnerkę i to dzięki niej nauczyłem się trochę polskiego, na tyle, by reżyserować filmy. W domu rodzinnym nie miałem tego języka, a język to ogromnie ważny element.

Odnosząc się do stylu, o którym mówiłeś, Macieju: w Polsce mam styl. Piszę tak, jak piszę. Mam swoje obserwacje, śmieję się ze słów, które wymyślałam po polsku. W Danii byłbym chyba bezrobotny i biedny [śmiech], bo jestem takim trochę walczącym artystą. Wybiłem się tutaj, nie tam. Chcę podziękować Szkole Wajdy za to, że mnie tak przyjęli. Jak widać w takich rozmowach jak ta zaczynam bronić Polski, ale w domu mam wobec Polski wiele zastrzeżeń.

MZB: Skąd się wzięło to poczucie misji? Dlaczego to dla ciebie takie ważne, żeby pokazać, że żydowscy emigranci mogą wrócić do Polski?

JD: Moja rodzina wyjechała do Danii, do Paryża, do Nowego Jorku, do Tel Awiwu. Nikt tu nie został. Nikt z mojej rodziny nie rozumie do dzisiaj, dlaczego w ogóle

mieliby rozważać taki powrót. Miałem ogromną motywację, żeby udowodnić, że się mylą. Na spotkaniach rodzinnych słyszę: „Po co ci ta Polska? Przecież to są antysemita”.

MZB: Masz naturę kontestatora?

JD: Tak to się zaczęło, może w niezbyt dojrzały sposób. Dzisiaj nadal czuję, że mam misję, dlatego robię filmy dokumentalne. Próbuję zrozumieć ludzi, różne losy, różne podejścia, inne perspektywy.

MP-B: Czy w twoich filmach dokumentalnych pojawia się doświadczenie emigracji twoich rodziców?

JD: Zrobiłem film *Kredens* (będzie tu pokazany jutro). Mój profesor w Szkole Wajdy, Marcel Łoziński, mówi, że dzięki temu filmowi staliśmy się sobie z mamą bliscy, mogłem z nią porozmawiać, bo przedtem nie mogliśmy rozmawiać o Polsce. Nakręciłem go dziesięć lat temu, myślałem, że zakończy tę sprawę. Mieliśmy jednak zjazd rodzinny. Do Kopenhagi zjechali się ludzie z wszystkich stron. I było wielkie zdziwienie. „A dlaczego ten Jacob siedzi w Polsce? My mieszkamy na całym świecie, a ty ze wszystkich miejsc wybrałeś właśnie Polskę? Warszawę? I do tego warszawską Pragę? To się nie mieści w głowie”. I właśnie dlatego po dziesięciu latach wracam do tego tematu, bo widzę, że on nie jest zamknięty.

Głos z sali [Edward Lubera]: Mam prośbę, żeby w rozmaitych ambasadach, Polski, Szwecji, Francji et cetera, szukać funduszy na organizowanie takich spotkań, jak dzisiejsze. Szukajmy jedności i lepszego obrazu Polski za granicą i zagranicą w Polsce. Dziś przeciętny Kowalski ma dość negatywny obraz Szwecji ze względu na to, co się tam dzieje z emigrantami. Uważam, że kultura to obszar, na którym możemy ludzi zbliżać do siebie. Niedawno założyłem stowarzyszenie „Tradycje bez granic”. Przed miesiącem uczestniczyłem w wielkim folklorystycznym spotkaniu w Puszczy Kampinoskiej. Przyjechały zespoły ludowe ze Szwecji, z Francji i z innych krajów. To było coś wspaniałego. Takie spotkania naprawdę jednoczą. Kiedy mieszkałem w Malmö, organizowałem wspólne potańcówki dla diaspor żydowskiej i polskich katolików. Stąd więc mój postulat.

BS: Oczywiście, kultura pełni właśnie taką funkcję. Bardzo wielu ludzi i wiele instytucji stara się taką pracę wykonywać, póki jeszcze może. Nie chcę brzmieć sarkastycznie i pesymistycznie, ale jeżdżę po Warszawie środkami komunikacji publicznej. Warszawa jest miastem międzynarodowym, mieszka tam teraz mnóstwo cudzoziemców, dużo Ukraińców, dużo ludzi o innym kolorze skóry. I proszę mi wierzyć, że ja już kolekcjonuję komentarze niektórych obywateli, „prawdziwych Polaków”, kiedy słyszą cudzoziemców rozmawiających ze sobą czy rozmawiających przez



telefon. Z bólem serca to obserwuję. Myślę, że osiem lat temu nie byłoby przyzwolenia na to, nie byłoby poczucia tych „prawdziwych Polaków”, że mogą sobie pozwolić na głośne mówienie tego, co mówią w tych autobusach i tramwajach. Dlatego, Jacobie, *chapeau bas* dla ciebie, za to, że mimo tego wszystkiego nadal niesiesz wysoko swój sztandar.

MP-B: Państwo wszyscy powtarzają słowa: „ambasador polskiej kultury”. Skandynawia dzięki wydarzeniom marcowym zyskała nowych obywateli, ludzi, którzy są elitą intelektualną, zyskała artystów, takich jak pan Włodek Herman, pisarzy i dziennikarzy jak pan Maciej Zaręmba Bielawski. My się możemy zastanawiać, co stracił kraj, który tych ludzi „wyjechał”. Czy czasami mają panowie taką refleksję, co by było, gdyby nie było Marca '68?

WH: Nie ma co przesadzać. Po moim wyjeździe wyrosły całe pokolenia polskich znakomitych reżyserów i nie sądzę, żeby ktoś odczuł jakiś brak. Ile straciła polska nauka i kultura, mogliby ocenić socjologowie. Napisano o tym dużo książek. Moim zdaniem co Polska straciła, to zyskały kraje, które nas przyjęły.

MZB: Gdyby nie było Marca wtedy, wydarzyłby się później, już w wolnej Polsce. Nie jestem w stanie odpowiedzieć na pytanie, co Polska straciła.

MP-B: Ja nie pytałam o to, co Polska straciła, tylko o pana osobistą refleksję.

MZB: Kiedy wybuchła „Solidarność”, nawet wcześniej, kiedy powstał KOR, okazało się, że na całym świecie jest siatka konspiratorów, którzy temu KOR-owi pomagają, a później podziemnej „Solidarności”. Jest jeden Smolar w Paryżu, drugi Smolar w BBC w Londynie, Leopold Unger w Brukseli, Maria Borowska i jej syn Michał w Sztokholmie... Piszą do prasy, doradzają politykom. W 68 roku Gomułka rozesłał po świecie przyszłych ambasadorów KORu i „Solidarności”. Z punktu widzenia strategii politycznej komunizmu, to było najgłupsze, co można było zrobić. I to też się jakoś wpisuje w historię, dlatego że bardzo trudno przecenić udział emigrantów żydowskich we wspieraniu polskiej „Solidarności”. Bardzo ważne było, żeby przekonać (zwłaszcza w Szwecji, szczególnie sfery rządowe), że to nie jest niebezpieczny ruch, który zagraża pokojowi na świecie, bo przecież takie były wtedy głosy.

WH: À propos tego, co się zyskało, a co się straciło: dyskutujemy tu o kulturze, ale chciałbym podkreślić, że bodajże po dwóch latach przez naszą emigrację zostało otworzonych sześć czy siedem przychodni lekarskich. To byli lekarze, którzy częściowo wykształcili się tutaj, a tam zdobyli autoryzację, albo tam się doksztalili. Znam inżynierów, lekarzy, naukowców na uniwersytecie. Kultura jest tylko jednym z aspektów i nie należy z tym przesadzać.

MZB: Skoro już o tym mówimy: przyjechała do Szwecji niejaka pani Katarzyna

Gruber. Musiała emigrować – jej mąż był Żydem, ona Polką. I miała tyle tupe-tu, że po pół roku zgłosiła się do pracy w Bibliotece Noblowskiej i została przyjęta. Z czasem została szefem slawistyki w tej bibliotece i zaczęła promować pewnego polskiego poetę, Załatwiła przekłady, dosyłała, i w końcu skłoniła jednego z członków Akademii, żeby napisał esej o Miłoszu. Miłosz, już po Noblu, elegancko jej podziękował. Ta nagroda mu się należała, ale wiedział, jak wyglądają te procesy.

MP-B: Pani Bogusławo, czy z perspektywy osoby, która zajmowała się kulturą w Danii, uważa pani, że wykorzenienie uruchamia w ludziach jakieś inne twórcze pokłady? Czy sytuacja bycia na obczyźnie również dyscyplinuje artystów?

BS: Pan Maciej mówił o tym na początku. To zależy od osobowości. Ogromne wyzwania na emigracji mogą zniszczyć człowieka, mogą go złamać, ale mogą go też bardzo mocno motywować. Dotyczy to przede wszystkim młodych ludzi. Jeśli ktoś ma potrzebę realizacji twórczej, to może się pojawić moc, która zwiększa zdolność przebicia się i pokonania różnych przeszkód. Bardziej niż miałyby to miejsce w ojczyźnie.

MZB: Czy ja mogę do tego dodać przypis? Jestem przekonany, że swojskość jest wrogiem sztuki. Jeżeli mogę szturchnąć sąsiada łokciem i powiedzieć: „Rozumiemy się?”, to niektórych rzeczy nie musimy już przemyśleć, wypowiedzieć,

skonstruować, namalować i tak dalej. I w tym sensie bariera, która powstaje, kiedy się pisze w innym języku, kiedy nie ma możliwości odwoływania się do wspólnego doświadczenia, jest niesłychanie ważna, żeby to, co się tworzy, było choć trochę bardziej uniwersalne. Może dlatego polska proza wydała niewielu światowych pisarzy, bo od kilkuset lat jest siłą rzeczy przejęta głównie wspólnym doświadczeniem, czyli Polską.

BS: To chyba w ogóle dotyczy małych języków. Akurat Dania jest wyjątkiem, bo jest Andersen, jest Kierkegaard, jest Blixen, o ile potraktujemy Kierkegarda jako pisarza. Oni się przebili do literatury światowej. Proza małych języków ma na rynku światowym trudniej niż wybitna poezja. Wybitna proza ma trudniej, bo nie ma tylu tłumaczy. Poza tym jest jakieś zamknięcie literatury wielkich języków na literaturę języków małych. W krajach anglosaskich na rynku jest kilka procent literatury tłumaczonej z języków obcych, w Danii tylko piętnaście procent, a u nas połowa.

MP-B: Nie wiem, czy panu Maciejowi chodziło tylko o język.

MZB: Kraj, który walczy o przetrwanie, siłą rzeczy nie napisze *Pani Bovary*. Ja tego nie wymyśliłem, cytuję Boya-Żeleńskiego.

WH: Chciałbym podkreślić, że to, czy dana literatura jest tłumaczona czy nie, często jest kwestią przypadku i zależy



od pojawienia się kompetentnych, do- brych tłumaczy. Podam przykład: mój przyjaciel, emigrant z Węgier Péter Esterházy, w 1956 roku jako szesnastolet- ni chłopiec uciekał z Budapesztu, pra- wie z bronią w ręku. W tej chwili jest jednym z najlepszych tłumaczy w Da- nii, nie mówiąc o tym, że jest jedynym chyba wielkim tłumaczem z języka węgierskiego. Przez swoje przekłady promuje wybitną literaturę węgier- ską. I to dzięki niemu wydaje się w Da- nii tyle węgierskich książek młodszych i starszych pisarzy. A z literaturą polską jest inaczej. Nie widzę dobrze przetłu- maczonej książki Tokarczuk czy My- ślińskiego, a te książki nie są gorsze od najlepszych pozycji światowej literatury.

MP-B: Akurat tłumaczenia książek Tokar- czuk dostają nagrody.

WH: Nie w Danii.

MZB: Prawie wszystkie książki Tokarczuk są przetłumaczone na szwedzki.

BS: Szwecja jest bardziej otwarta na Pol- skę niż Dania.

MP-B: Dania jest mniej otwarta na Polskę?

BS: Tak, to osobny wielki temat, który mnie mocno dotyczy, bo całe życie za- wodowe zajmuję się komunikacją mię- dykulturową między Polską i Danią. Obserwuję też to, co się dzieje w tej dziedzinie w Szwecji i wydaje mi się, że księżniczka Anna i jej syn Jan mają w tej

sprawie głos decydujący; zresztą już od Wazów relacje polsko-szwedzkie układa- ją się płynniej i lepiej niż polsko-duńskie. Pod względem psychologicznym Polska i Dania są daleko. Za czasów komunizmu kultura szwedzka była przez Ambasadę Szwecji mocno promowana, relacje pol- sko-szwedzkie były silne, ze strony Danii nie było takich relacji w ogóle. Szefuję od dwudziestu lat Duńskiemu Instytutowi Kultury i proszę mi wierzyć, że poszła- bym już na zasłużoną emeryturę, żeby móc w pełni zająć się literaturą, ale ni stąd, ni zowąd po raz pierwszy w latach 2018–2020 Polska została potraktowana priorytetowo, jeśli chodzi o finansowanie wymiany kulturalnej. Dopiero od roku po raz pierwszy mam w Instytucie poważ- ne pieniądze na działalność (dzięki temu zresztą tu jesteśmy).

MZB: Trzeba przyjechać do Gdańska, żeby zrozumieć pozycję Szwecji. Są czte- ry przekłady *Pana Tadeusza* na szwedzki.

WH: A na duński jest jeden, i to bardzo dobry.

BS: Jest znakomity i bardzo się z niego cieszę. Ze szkoły wyniosłam nabożny stosunek do *Pana Tadeusza*. W latach 90. miałam w Poznaniu w Instytucie praktykantkę. Ona, biegając po Parku Sołackim, złamała nogę i wylądowała w łóżku z nogą w gipsie, a ja przynosi- lam jej książki. Wśród nich był *Pan Ta- deusz*. Po duńsku. *Notabene* przetłu- maczony w latach 30. przez tłumacza sprzyjającego nazistom, tym niemniej

znakomity. Dwa dni później pytam, jak tam lektura, a ona na to: „Dawno się tak nie uśmiełam. Ale świetna rzecz!”.

Tak to jest, jak się spogląda z ze- wnątrz. To spojrzenie jest świeże i widzi się znacznie więcej.

MP-B: Proszę państwa, trudno zebrać całą naszą dyskusję, która zaczęła się od emigracji. Przeszliśmy przez wszyst- kie losy polskości i skończyliśmy na literaturze i na *Panu Tadeuszu*. Ja zy- skałam bardzo wiele, słuchając pań- stwa raportów z emigracji. Bardzo za te wszystkie wspomnienia i refleksje dziękuję. Jeżeli ktoś z publiczności ma jakieś pytania, to bardzo prosimy.

Głos z sali: W państwa rozmowach poja- wiały się emigracja po 1968 roku i emi- gracja ekonomiczna po 1989 roku. Czy da się rozmawiać wspólnie?

WH: Da się. Polscy rzemieślnicy są w Da- nii bardzo mile widziani. Pracują rów- nież w naszych mieszkaniach i domach. Szanujemy się nawzajem. Ale, tak jak to ktoś wcześniej podkreślał, to jest emi- gracja ekonomiczna, a my byliśmy ra- czej z emigracji polityczno-kulturalnej. Ale kontakty są. Świetnie funkcjonuje polski sklep. Wszyscy się tam spotyka- my. Kupujemy tam polską kiełbasę...

MP-B: Poruszaliśmy już ten temat, kie- dy pytałam o kontakty między różnymi emigracjami. Pan mówi „Spotykamy się w sklepie”. Ale nie spotykamy się nigdzie indziej.

BS: Teraz to są już chyba przede wszyst- kim podziały pokoleniowe. Pani chyba jednak chodzi o coś innego. Pani pyta, czy problemy dotyczące tamtej emi- gracji występują też dzisiaj. Tego nie wiemy. Dzisiaj świat jest zglobalizowa- ny i ja tego nie wiem.

MZB: Ja nawet nie wiem, czy to jest emi- gracja, bo to są przecież ludzie, którzy w każdej chwili mogą wrócić. W Szwecji są dwa ośrodki polonijne i do jednego z nich nie można wnieść „Gazety Wy- borczej”, bo to ich zdaniem pedastwo i niemczyzna. W ubiegłym roku ten ośrodek, Kongres Polaków w Szwecji, stracił dotacje państwowe, chyba trzysta tysięcy koron, razem z inną organizacją – Młodzi Islamiści, za kontakty z ekstre- mistami. Potem je odzyskali. Za każdym razem kiedy coś napiszę krytycznego o obecnym rządzie, dochodzą z tego śro- dowiska protesty, że to nieprawda, że co ze mnie za Polak i tak dalej.

Głos z sali: Nie bardzo rozumiem, dla- czego powiedział pan, że emigracja po 1989 roku to nie była emigracja. Ja nie jestem związana z tym ruchem, ale wyobrażam sobie, że ci ludzie tak samo musieli się czuć pokrzywdzeni, tak jak państwo się czuli. Zostali odepchnięci, nie mieli gdzie pracować i musieli wy- jechać z kraju. Nie było tu dla nich miej- sca i nie mogli zapewnić sobie w kra- ju bytu. Naprawdę nie widzę powodu, żeby się wywyższać i twierdzić, że po 1989 roku to nie była emigracja.

MZB: Wycofuję moje słowa. Z grubsza rzecz biorąc, były cztery fale emigracji: tużpowojenna, 1956 roku, 1968 roku i emigracja stanu wojennego. Teraz większość Polaków w Szwecji to są ludzie, którzy dojeżdżają, ale oni też tworzą tę grupę. Niektórzy zostają, niektórzy się żenią, to wszystko jest skomplikowane. Trudno mówić o Polakach w Szwecji jako o jednostce socjologicznej.

WH: Na pewno poruszyła pani aktualny wówczas problem. Myśmy mieli bardzo dobre kontakty, szczególnie pokolenie trochę ode mnie młodsze, z emigrantami solidarnościowymi. I bardzo często ruszaliśmy z aktywną pomocą. Wtedy nie było różnicy, czy to Polak emigrant, czy Żyd emigrant. Ma pani absolutną rację. Była wtedy solidarność między tymi emigracjami.

Lawrence Ugwu: Doskonale rozumiem, o co panom chodzi. Pani się obraziła, ale ci, którzy wyjechali w 1956 czy 1968 roku, opuścili kraj, w którym się urodzili bez możliwości powrotu. Natomiast ludzie, którzy emigrowali po 1989 roku, szukali sobie lepszego miejsca do życia, możliwości zarobku. Mogli wyjechać w danym

roku, a w następnym już zdecydować, że wracają. I wtedy taki emigrant nie ma szans na taką integrację, jak tamci ludzie. Ci, co wyjechali wtedy, musieli się zintegrować, po prostu musieli szukać swojego miejsca.

MP-B: Na pewno różnica była taka, że ci, którzy wyjechali po 1989 roku mieli paszport ważny wszędzie, a ci z Marca '68 wszędzie poza Polską.

JD: Nie zgadzam się z panią, ale to nie znaczy, że nie można było doświadczyć tych samych problemów czy wyzwań podczas późniejszej emigracji.

MZB: Doskonale panią rozumiem, ale jest tu pewna różnica. Wszyscy emigranci spotykają się z problemem bycia obcym w kraju, do którego przybyli. W naszym przypadku zostaliśmy do tego uznani za obcych również w kraju, z którego zostaliśmy „wyjechani”. Na tym ta różnica polega. Podwójna obcość.

MP-B: Musimy powoli kończyć tę rozmowę. Niech pogodzi nas sztuka. Zapraszam na film *Statek* w reżyserii Mariana Marzyńskiego. Dziękuję wszystkim za udział.

Tekst

Lawrence Ugwu, Marta Perchuć-Burzyńska, Bogusława Sochańska, Jacob Dammas,
Maciej Zaremba Bielawski, Włodzimierz Herman

Korekta

Elżbieta Pękała

Opracowanie graficzne i skład

Michał Pecko, Marta Stasiukiewicz

Seria publikacji jest zapisem rozmów i rozważań dotyczących emigracji oraz doświadczeń polskich i żydowskich w obrębie krajów skandynawskich. Treści prezentowane w zbiorze zostały zarejestrowane w październiku 2019 roku, podczas konferencji „Raport z emigracji. Spotkania ze światem” w ramach jesiennej odsłony Festiwalu Kultur Okno na Świat.

Wydawca

Nadbałtyckie Centrum Kultury

ISBN 978-83-954267-3-5



